

ANDRZEJ BARTYŃSKI

Rozmowy na globie -  
człowieka o sobie**I tak sobie myślę**

Siedzę w salonie mych myśli i tak sobie myślę.

*Ty jesteś Mamo słońce w kwiatach  
i Tobie w hołdzie trud mój niosę  
jedyny śpiew mych lat i wiosen  
bo Ty jesteś moim domem  
i chronisz mnie przed wiatrem  
Ty jesteś jabłoni kwitnąca  
i wszystek mój romantyzm*

Mamo, siedzę w salonie mych myśli i tak sobie myślę.

Moja siostrzyczko Halu.

*Gdy utraciłem oczy  
dałaś mi oczy swoje  
szliśmy do kina we dwoje  
ołówkiem szeptu rysowałaś sceny  
a ja widziałem greckie Ateny  
A gdy utracił oczy  
dała mu oczy swoje  
by malowali świat oboje  
ona pędzeliem farbą na płótnie  
a on zatrudnił wiersza lutnię  
by dźwiękiem barwić słów obrazy  
i tak malują świat razem  
Tu ukłon niski.  
niech żyje sztuka i double whisky*

Siedzę w salonie mych myśli i tak sobie myślę. Mój przyjacielu Iruziu – Ireneusza Morawski. Szliśmy przez życie jak bracia, jak dwaj komandosi cichociemni w walce o swoją wolność w królestwie nocy. I przyszedł czerwiec rok 2011 i Ty odszedłeś.

*A jak to ten żal – może wiesz.  
radą dobrą mnie wesprzyj.  
a jak to w tę dal – może wiesz  
w złym takim wietrze*

Siedzę w salonie mych myśli i tak sobie myślę – pocałunek oczu.

*Idzie poeta przez czasy  
a ona żona z różą*

*patrzcie już wieczór  
gwiazdy oczy swe srebrne mrużą  
stanęły – przytulił poeta żonę  
westchnęły – jakie te gwiazdy słone*

– Ja to uczyniłam. To moja zasługa. Niczyja inna. To moja zasługa, że to właśnie przyszło na świat, że to właśnie się pojawiło – bursztynowy głos błękitnookiej, złotowłosej Wiosny, jak bursztynowy spadochron zawisł nad okrągłym stołem w salonie mych myśli.

Filozof Pan Nietwór zmrzył oczy. Asystent Daniel Spaniel zmrzył oczy.

– Ja to uczyniłam. To moja zasługa. Byłam wtedy pod postacią szkolnej koleżanki naszego Autora. Byliśmy uczniami w klasie IX C Pierwszego Liceum Ogólnokształcącego we Wrocławiu przy ul. Poniatowskiego. Był piękny maj 1951 rok. Powiedziałam, chodźmy na spacer do Parku Szczytnickiego. I poszliśmy. Stoimy nad wodą, po której płynie ku nam para pięknych łabędzi. On i ona. Tak jak my koło siebie. Jaka szkoda, że tego nie widzisz, że tego nie możesz przecież zobaczyć – powiedziałam i ugryzłam się w język. Uśmiechną się i powiedział – jaka szkoda, że ty nie widzisz tego teraz, co ja w tej chwili widzę nad senniejącą wodą milczących ust. Za kilka dni byliśmy znowu w tym samym miejscu nad senniejącą wodą milczących ust. Nasz Autor, mój szkolny wtedy kolega powiedział do mnie – posłuchaj i spójrz na wodę. Słuchaj poety, a zobaczysz czego inni wcale nie widzą, że tu jest *Aqua Marzenna* czyli bajkoterapia. Patrę i widzę, ta sama para pięknych łabędzi płynie ku nam po wodzie. Patrę, widzę, słucham i zdębiałam. Nadstawiam ucha bajkom.

*Nad senniejącą wodą Milczących Ust  
pod tytoniową łodygą letargu  
zapamiętałem rozmarzeń naszych plusk  
zieleniejący na bombajce czasu  
A na piętnastu rubinach  
wirują kółka w moim zegarku  
powstaje godzina – dąb ją usłyszał  
nadstawia ucha bajkom  
Na perskim rynku pachną dziewczęta  
i w koszach zerwane cytryny  
jak tłum motyli płyną derwisze  
w brodatych turbanach nargilli  
Delirium tremens to białe myszy  
nad rzeką z rumem jamajka  
w piasku się bawi z dziećmi bazylipek  
i wulkan dymy jak fajka  
U smukłej kobiety koloru kawy  
wybrzeżem nocy kochanek się zjawiał  
przez biodra przejdzie tygrys płomieni  
zjadaczów brzoskwiń w burze zmieni  
A z Monte Carlo śpiewa Murzyn  
że słońce jest jak wielki bursztyn  
że kocha swoją czarną muzę  
o hej ja hej jak Murzyn  
W zatoce pereł mruczą fale  
palacze opium dziwnie śnią  
skradziony księżyc na tapczanie  
w cyrku się śmieje Din i Don  
W cygańskim mieście wśród namiotów  
wyrosłem na apasza gwiazd  
całując morelowe oczy kocic  
ogniste oczy moich snów  
splatałem im w lubieżne sploty  
włosy ze stu moich wróżb  
W cygańskim mieście wśród namiotów  
Liszt kampanelle swoje grał  
i Aleksander stał Gierymski  
w pomarańczarki towarzystwie*

*Kto wśród magnolii posąg wymyślił  
na cześć rozpasanej bachantki  
kto się miłością spił w nieprzytomność  
poeta znad pustej szklanki  
Wtem się rozplakał na pachnąco  
czerwony goździk z krwią gorącą  
tuż za „Altaną” Aleksandra  
O gwiazdo cygańska  
Cyganko z Szopenowskiego walca  
złota dziewczyno skąpiana w astrach  
córo Gounoda  
oblubienico Petrarki i Fausta  
Na obłąkany turecki bez  
na rozedrgane żółte tulipany  
swą krew białym zgarnął diabłu w gardło  
za muzykalność  
najdoskonalsze mi zwierciadło  
za ludzką rzecz*

Stuk, stuk, puk, puk otwierają się drzwi do salonu mych myśli i wchodzi para pięknych łabędzi, poeta Andrzej Walter i Jego żona Jaga. On Fotowiking Paradny a Ona Jutrzenka Codzienka. Wołają na powitanie – Jarzab! Odpowiadamy chórem – Jarzab! Jaga siada koło nas przy okrągłym stole. Andrzej wchodzi na estradę i ogłasza światu:

**Poeta ptak, czyli rzecz  
o Andrzeju Bartyńskim**

Jak napisał Stanisław Grabowski istnieją „poeci z urodzenia”.

Zaliczył do nich Jana Twardowskiego, Tadeusza Nowaka oraz Andrzeja Bartyńskiego – wrocławskiego barda o silnym refleksie słowa, gdyż właśnie ów potężny refleks uznał Grabowski za wyznacznik takiej kategoryzacji. To refleks tajemnego pojawiania się wiersza na zaskakujące okoliczności życia. Na sytuacje nagłe, ekspresowe i mocne, z których poeci ci, wlatywali ponad poziom otoczenia błyskawicznie ripostując słowem w poezji.

Doświadczyłem tego osobiście obserwując nagle i błyskotliwe wloty wierszem równie niespodziewane jak sytuacje, które je wywołały. Andrzej Bartyński jest żywołem. Wulkanem słowa i życia. Jako taki stanowi wręcz zjawisko socjologiczne na mapie kulturalnej Polski. A jego korzenie sięgają Kresów, rzewnie wspomnianego, przedwojennego Lwowa, czyli świata którego właściwie już nie ma. Świata jakże zamkniętego i unicestwionego walcem historii i ludzkim cierpieniem. Cierpieniem, którego doświadczył też nasz Autor tracąc wzrok z ręki nazistów, i z którego uczynił oręż tak silny, że przeży się niczym skała. Jego okaleczona percepcja bowiem, w połączeniu z dynamiczną lekkością weny ewoluowała w kierunku czystym i rzeckim jak źródło spoza wszelkich znanych warstw świadomości. Jak źródła wiersza na pustyni życia.

Życiem tym szedł Andrzej Bartyński zdecydowanie. Jakby widział więcej, czuł silniej, słuchał uważniej. Szedł odważnie, energicznie i aktywnie. Działal, pisał i tworzył, zawiązywał koleżeństwa oraz przyjaźnie. A dziś śmiało można go zaliczyć do czołowych postaci zamkniętego kręgu świata literackiego. Mam takie zdjecie, które zrobiłem trzy lata temu na Polanickim Festiwalu, na którym inny poeta fotografuje Bartyńskiego deklamującego wiersz na jednej nodze niczym swojski, polski bocian, kiedy zamierza wnieść się do lotu. I faktycznie. Niewiele brakowało, aby odleciał.

Kiedy przeczytamy kilka wierszy tu zamiesz-

(Dokończenie na stronie 24)